

Położ się synku

Choć od katastrofy na przejeździe kolejowym w Drogomilu pod Bytomiem Odrzańskim, w której zginęło dziesięciu młodych chłopaków, minęły 32 lata, to wspomnienia wciąż żyją w rodzinach ofiar, w ich znajomych i w świadkach wypadku. Katastrofa odcisnęła na nich piętno.

Zofia mieszka tuż przy przejeździe. I przy pomniku z kamienia, na którym przymocowano tablicę. Wryto w niej dziesięć nazwisk - wieczną wizytówkę. Dla rodzin, dla znajomych jest to miejsce pamięci. Składają kwiaty, palą znicze. Ten kamień, te kwiaty i znicze dla Zofii są jak przekleństwo.

- Wystarczy, że spojrzę przez okno...

32 lata temu pracowała na kolei. "Zosiu, chyba twój dom się pali!" powiedziała dyżurna. Przerażona, wsiadła na rower. Przecież w domu zostawiła czworo małych dzieci.

- Wjechałam na górkę. Spojrzałam. To nie dom płonął...

Zofia wyjmuje z szuflady pożółkłe strony lokalnego dziennika i czyta: - W sobotę, 4 czerwca 1988 roku o godzinie 6.50 doszło do tragicznej w skutkach katastrofy na niestrzeżonym przejeździe...

Tamtego dnia w rowerze Zofii obłuzowało się koło. Mąż powiedział: "Zostań, to naprawię". Ale nie chciała się spóźnić do pracy.

- Gdybym wtedy została... - wzdycha.

Ciężarówka wiozła młodych żołnierzy. Jechali do Żukowic, by pomóc mieszkańcom w pracach melioracyjnych. Czy była szansa, żeby tych chłopaków ocalić? - to pytanie dręczy Zofię do dziś.

- Gdybym wtedy została, to na pewno jak zwykle krzyknęliby dla żartu: "Hej! Lala!". Może zatrzymaliby się na chwilę i uniknęli wypadku?

Żołnierze nie spodziewali się, że pociągi nadjadą z prawej i z lewej strony, niemal jednocześnie. Zofia, jako pracownica kolei, znała rozkład jazdy na pamięć.

- Gdybym wtedy została, to może zdążyłabym krzyknąć, może ktoś by wyskoczył i przeżył.

*

Jan Magdziarz, maszynista pociągu pospiesznego: - Widziałem tę ciężarówkę, dawałem sygnały!

Kazimierz Marek, maszynista osobowego: - Wyjechałem z za zakrętu i zobaczyłem dym i płomienie jakby z elektrowozu nadjeżdżającego pociągu. Zacząłem hamować i wtedy dostrzegłem, że pospieszny coś wlecze po moim torze. Były to resztki ciężarówka. Dałem ostre hamowanie i odskoczyłem do tyłu. Nastąpiło zderzenie, wstrząs i wykolejenie.

Ciężarówka wiozła osiem kanistrów z benzyną. Gdy doszło do zderzenia, kanistry wybuchły. Obok przejazdu było pole z ziemniakami.

Zofia: - Ci chłopcy, żywe pochodnie, kulali się po tym polu, żeby ugasić płomienie.

Jeden podbiegł do Zofii. "Wody! Proszę!" - krzyczał.

Zofia do dziś nie potrafi zapomnieć jego twarzy. - Przyniosłam wody, a on osunął się na ziemię i skonał. Po chwili podbiegł kolejny. "Mam rodzinę, mam żonę..." wykrztusił i upadł. Włosy tego chłopca momentalnie zrobiły się białe. Lekarka powiedziała, że osiwił i umarł, bo tak się dzieje z człowiekiem, kiedy pęka serce.

*

Pierwszej pomocy rannym starali się udzielić trzej lekarze, którzy byli wśród pasażerów pociągu. Później przyjechali strażacy.

Ireneusz Solf z Nowego Miasteczka był wtedy dowódcą zmiany w Państwowej Straży Pożarnej w Nowej Soli. - Po drodze mijaliśmy mrowie ludzi - mówi. - To byli pasażerowie pociągu. Cud, że przeżyli.

Solf wysłał strażaków do przeszukiwania wagonów. - Biegliśmy wzdłuż torowiska. Leżały ciała żołnierzy, w takim stanie, że nie potrafiłem rozpoznać w nich ludzi. Ciężarówka złała się z lokomotywą. Ale rozpoznałem, że jest z jednostki w Kozuchowie. Zadzwoiłem do dyżurnego...

Przyjechało kilkanaście karet. Rannych przewieziono do szpitali. Bożena Spocjacz miała wtedy 20 lat. Była początkującą salową. - Zwozili tych chłopców, ale w zasadzie nie było już kogo ratować. Z noszowym niosłam jedno z ciał do pomieszczeń w piwnicy. Zajrzeliśmy pod prześcieradło...

Stanisław Strużyński pracował w tej samej kompanii, w której służyli żołnierze, którzy zginęli. - Wysłali mnie do szpitala, żebym rozpoznał ich ciała.

*

Mirosław Szalmo z Otynia pamięta, że to był dzień przysięgi. Grał w orkiestrze wojskowej na waltorni. - Zjechały rodziny zaprzysięganych żołnierzy - wspomina. - Nagle zaczęli tych

cywilów wyganiać z terenu jednostki. Tłum ludzi szedł drogą. Zrobiło się cicho. Tłum zamarł, bo drogą wieźli wojskową ciężarówkę, a w zasadzie to, co z niej zostało...

Żelastwo, pozwijane jak spirala, pamięta Jarosław Migdalski. Był w jednej kompanii z chłopakami, którzy wtedy zginęli. Pamięta wszystkich z imienia i nazwiska. - Jarek był z Płot, Robert z Zawady, Krzysiek z Zielonej Góry, Tomcio był z Gorzowa, Robert z Nowej Soli, Konrad z Kożuchowa... - powtarza w kółko. Dziwią się niektórzy: „Jak to możliwe, że potrafi wszystkich wymienić?”. „Skąd ty znasz te nazwiska?” - pytają. - Nie zapomnę ich do końca życia - odpowiada Jarosław. - W wojsku, przez rok, codziennie byliśmy razem. Oni byli dla mnie jak bracia.

Dzień tragedii w pamięci Jarosława jest jednak czarną plamą. - Doznałem takiego szoku, że wybiegłem z jednostki i pieszo dotarłem do Zielonej Góry, do domu. Mama mi opowiadała.

*

Później były pogrzeby.

Cała wioska żegnała Staszka Brodkę z Bronkowa. - Ze Staszkiem chodziłem do jednej klasy w podstawówce - mówi Jacek Gąszczak. - Razem poszliśmy do wojska i razem mieliśmy wyjść do cywila. Staszka wynieśli w trumnie.

J. Migdalski był na pogrzebie Jarka Wadyckiego. - Żegnały go chyba całe Płoty, tyle było ludzi. Szliśmy w kondukcje żałobnym sześć kilometrów, do Czerwieńska. Trumnę nieśli chłopcy z miejscowej drużyny piłkarskiej, bo Jarek był przecież piłkarzem.

*

- Grał na środkowej pomocy – mówi Teresa, mama Jarka. - Ciągle mu się ta gęba śmiała i wszędzie go było pełno.

Do wojska poszedł w 1987 roku. Na przysiędze zobaczyła syna w mundurze i taka była zadowolona, że dorósł.

- Przyjechał na przepustkę. Powiedział "Mamo, ja tak umrę, jak tatuś". Pierwszego męża pochowałam w 1975. Zginął w wypadku. Syn ciągle na tej przepustce powtarzał "Ja tak umrę, jak tatuś". Ja na to "Synku! Co za głupoty opowiadasz?".

Dwa tygodnie później, w sobotę, Teresa pojechała do pracy, jak zwykle. Tego dnia radio szumiało, więc nie słuchała wiadomości. - Dopiero kierowca z zakładu, jak przyjechał, to nam powiedział, że pod Bytomiem widział straszny wypadek, że tylu żołnierzy zginęło. Ja wtedy czułam, że mój Jarek nie żyje.

Zmarł za dziesięć jedenasta, w szpitalu.

- Jak to jest usłyszeć, że syn zginął w wypadku? Nie umiem tego powiedzieć. Umarł mi pierwszy mąż, umarli rodzice i syn. Niby śmierć, to śmierć, ale dla mnie każda była inna. Za dzieckiem żal był największy. Babcia mi powiedziała, że każdy ma swoją świeczkę. Jednemu wypali się cała, a drugiemu pół. Jarkowi wypaliło się tylko trochę. Jego świeczka zgasła za szybko. Przecież miał plany. Tyle razy powtarzał "Nie sprzedawaj tej działki. Wyjdę z wojska na wiosnę i będę się budował". Później, jak miałam chandrę, to leciałam na cmentarz, na piechotę, nawet po ciemku, przez las. Pytałam nad grobem syna "Czemu ty tak szybko odszedłeś? Ja ciebie pochowałam, a kto mnie będzie chował?". Do dziś, jak mnie łapie chandra, to wsiadam na rower i jadę. Mówię nad grobem "Synu, kochałam cię, Kocham i będę kochać, dopóki będę żyła". Ale dziura zawsze w sercu zostanie.

*

Świadkowie tych wszystkich zdarzeń opowiadali później przez lata, że chłopcy byli tak poparzeni, a mimo to ich serca wciąż biły. Najdłużej biło serce Jerzego Piłata ze wsi Karczmiska pod Opolem.

W szpitalu wspominał wypadek. Mówił, że siedział z chłopakami na pacy. Że widzieli ten drugi pociąg. Że wołali do kierowcy "Stój! Hamuj!". Ale nie zahamował...

Dokumenty źródłowe podają trzy możliwe bezpośrednie przyczyny niezatrzymania się ciężarówki: zignorowanie sygnałów dźwiękowych lokomotywy przez kierowcę, który mógł sądzić, że pochodzą one z pociągu, który minął przejazd; zły stan techniczny ciężarówki, przez co opóźnione zostało hamowanie; niedawanie sygnałów dźwiękowych przez maszynistę.

Marta (siostra Jerzego): - Jeśli człowiek cały czas szukałby winnych, to ten żal by człowieka zniszczył. To był wypadek.

Helena i Waław (rodzice): - Jeszcze w maju tacy byliśmy szczęśliwi. Przysłał życzenia na Dzień Matki. Wcześniej był u nas przez dziesięć dni, na przepustce. Jak wrócił do jednostki, to zadzwonił i opowiadał, że spotkał zakonnice. Że zapytała "Żołnierzyku, ile służby masz jeszcze?". On na to, że tylko cztery miesiące. Powiedziała, że jej brat też był w wojsku i zginął. Dała Jurkowi obrazek...

Później do Piłatów przyszedł telegram o katastrofie na torach. Helena, Waław i Marta przychodzili do szpitala codziennie. Jerzy wiedział, że umrze. Mówił do Marty, żeby przygotowała rodziców.

Helena: - Jurek leżał w bandażach. Tyle, że oczy miał na wierzchu.

Wacław: - Dwadzieścia dni żyliśmy nadzieją, że wydarzy się cud. Ale się nie wydarzył. Zapytali, jaki chcę pogrzeb dla syna, czy z orkiestrą wojskową. Mnie nie trzeba było orkiestry ani uroczystości. Pochowaliśmy syna wśród swoich.

Jerzy miał narzeczoną - Agatę. Na pogrzeb przysłała z bukietem ślubnym. I ten bukiet rzuciła na trumnę.

Marta: - Byliśmy zgraną rodziną. Nagle życie rodziców pękło. Tata krzyczał, płakał całymi dniami. Mama tak samo...

Po Jerzym zostały wspomnienia, dokumenty i obrazek od zakonnic. W dniu wypadku miał go przy sobie.

*

- Siedzi to we mnie do dziś - mówi Jarosław Gąszczak. - Gdy jestem na kolejowych przejazdach, to w głowie mam obraz z wypadku.

- Przejeżdżam tamtędy rowerem i przed oczami włącza się jakby film - mówi Ireneusz Solf. Choć zawodowym strażakiem był przez 27 lat, choć wzywany był do wielu tragedii, to katastrofy spod Bytomia Odrzańskiego nie potrafi zapomnieć.

Bożena Spocjacz od 17 lat mieszka we Włoszech. - Minęło tyle czasu. Od Bytomia i pomnika z kamienia dzielą mnie setki kilometrów. I wciąż pamiętam ten widok. Ciało chłopca spod prześcieradła wyglądało jak spalone drzewo.

Jarosław Migdalski mieszka w Holandii. - Często wpisuję w internecie nazwiska chłopaków. Staram się znaleźć cokolwiek o tragedii. W kółko znajduję to samo. I czytam.

Rodzice Jerzego: - To siedzi głęboko, cały czas. Najtrudniej jest w Boże Narodzenie. Ale musieliśmy się ze śmiercią Jurka pogodzić, bo co nam zostało?

Marta: - Różne rzeczy mówili rodzice, za które absolutnie ich nie winię. Że już nie chcą żyć, że nie mają dla kogo. Wtedy te słowa odczuwałam dosłownie. Wiele zrozumiałam dopiero po latach, jak moje dzieci dorosły.

J. Migdalski przez długi czas, gdy kładł się spać, widział puste łóżka. „Tu leżał Tomek, tu Krzys...” - liczył. - Otwierałem drzwi i wybiegałem na zewnątrz, bo to było nie do zniesienia.

Stanisław Strużyński pamięta, że po wypadku żołnierze z jednostki nie chcieli pełnić warty. - Jeśli pełnili, to tylko parami. Ze strachu.

Zofia: - Kilka dni po wypadku poszłam na pole. Usłyszałam maszerujących żołnierzy. Mój pies zaczął skamleć. Uczępił się mojej nogi. Wyszłam na drogę. W oddali dojrzałam kilka jasnych postaci. Szły wzdłuż torowiska. Nagle... jakby się rozplynęły.

Teresa: - Syn przyszedł do mnie dwa razy, we śnie. Pierwszy raz rok po wypadku, w Wielkanoc. Mówił "Mamusiu, ja pukam do was tyle czasu, a wy mi drzwi nie otwieracie". A w drugim śnie siedział w trumnie. Prosiłam "Synku, połóż się", ale on nie słuchał. Zawołałam Bolka, kolegę męża. I Bolek go przekonał. Jarek położył się w trumnie i więcej mi się nie przyśnił. Wtedy chyba pozwoliłam mu odejść.

*

Rodziny i żołnierze przyjeżdżają pod pomnik z kamienia. Składają kwiaty, palą znicze. W sobotę (6.06) przyjechało kilku rezerwistów, którzy służyli w Kozuchowie przed laty. Była okazja do rozmów.

- Służyłem jako zawodowy żołnierz w jednostce w Kozuchowie - mówi Ryszard Stępniewski z Nowej Soli. - Przyjeżdżam tu, żeby oddać hołd żołnierzom, którzy zginęli. Dobrze znałem się z Konradem Burzyńskim.

- Przyjechałem, bo trzeba o tej tragedii pamiętać - mówi Janusz Kozłowski z Nowego Tomysła. Trzy miesiące temu założył na Facebooku grupę rezerwistów, zrzeszającą między innymi rocznik 1987-1989 o symbolu JW 3001 Kozuchów. Właśnie z tego rocznika byli żołnierze, którzy zginęli na torach.

Rezerwiści stali w sobotę przy kamieniu, a torowiskiem pędziły kolejne pociągi. Nie ma tam rogatek. Na szczęście są światła i sygnalizacja dźwiękowa. Ale to wciąż niebezpieczne miejsce. Trzeba uważać.

W sobotę przez torowisko beztrąsko przechodziła młodzież. Jechali rowerzyści. Przejeżdżały kolejne samochody. Niektórzy kierowcy jechali szybko, bez zastanowienia. Nie zatrzymywali się, mimo znaku STOP. Tak jakby nie mieli świadomości, że w 1988 roku na tym przejeździe zginęło tylu młodych ludzi.

Zofia: - Jeżdżą tędy matki z dziećmi, jeżdżą babcie z wnukami i często nie zatrzymują się nawet na czerwonym świetle.

RAMKA 1

W katastrofie zginęli:

chor. Konrad Burzyński

st. kpr. Krzysztof Raczkowiak

st. kpr. Jarosław Wadycki

kpr. Stanisław Brodtko

kpr. Stanisław Rogalski

st. szer. Robert Bogusz

st. szer. Tomasz Gierłowski

st. szer. Robert Kopciuch

st. szer. Jerzy Piłat

st. szer. Piotr Poskuta

RAMKA 2

Katastrofę przeżyło trzech żołnierzy. Jeden szczęśliwie wypadł z auta jeszcze przed przejazdem. Kolejny zdołał wyczołgać się z rozbitej ciężarówki. Ktoś go ugasił. Trzeci wysiadł na trasie, w Bytomiu Odrzańskim. Nie chcą wracać do przeszłości. Rany, te w głowie i w sercu, nie zabiły ich do dziś.

Pięciu żołnierzy zginęło na miejscu. Pięciu zmarło w szpitalu. Ciała niektórych poparzone były nawet w 90. procentach.

Wypadek spod Bytomia Odrzańskiego jest jedną z najtragiczniejszych katastrof, do jakich doszło na przejazdach kolejowych w naszym kraju.